Nr. 10. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr kwartalnie **1** zł. **50** ct, miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1 go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Na dzień przed przyjazdem Hrabiny, (list, uwiadamiający o tym wypadku radosnym, znajdował się już w Trzcińcu) p. Miliński o godzinie poobiedniej, wyszedł najpierw w pole zobaczyć, jak przy żniwie robią, z tamtąd zwrócił się ku drodze, która do Komarowa prowadziła.

Szedł z głową schyloną, zamyślony, jakby smutny.

Młody to był jeszcze człowiek, ale nie wyglądał młodo. Skończył dopiero lat trzydzieści dwa, wszelako jego powierzchowność, ruchy, mowa, były o wiele starsze. Wzrostu był miernego i dość szczupły; oczy miał siwe, rysy wyraziste, wąsy i brodę trochę ryżawe. W ustach i spojrzeniu widać było energję, grube zaś fałdy, co mu się między brwiami układały, mówiły o życiu ciężkiem i cierpieniach, wśród których rychło dojrzał i postarzał się przedwcześnie.

Rodziców dawno stracił, ojca, gdy jeszcze był dzieckiem, matkę przed laty dziesięciu; odtąd był sam, w Wielkopolsce bowiem nie miał bliższych krewnych, jedyny zaś brat matki mieszkał aż na Podolu galicyjskiem i z tym rzadko się komunikował. Widział go wszystkiego dwa, czy trzy razy, jeszcze ongi, gdy ten do Trzcińca przyjeżdżał siostrę odwidzać, a pisywał doń tylko raz na rok z życzeniami w dzień imienin. Tak samo i wujaszek gratulował mu regularnie na św. Henryka.

Popełniwszy wielki błąd z budynkami, chciał w pierwszej chwili Trzciniec sprzedać i przenieść się w inną okolicę. Od tego zamiaru odwiódł go jednak ks Czyżyk. Ten go przekonał, że ustąpienie z miejscowości, gdzie już prawie cała większa własność była w ręku niemców, mogła by być poczytywaną za małoduszną dezercję, której on, człowiek młody, pełen jeszcze sił i energji, nie powinien się dopuścić.

— Być może, że gdzie indziej byłoby panu przyjemniej, lepiej i spokojniej — tak proboszcz mówił — lecz zechciej pamiętać, że to twoja ojcowizna... Jak metryki kościelne świadczą, już trzysta lat minęło od dnia, w którym pierwszy Miliński w Trzcińcu na świat przyszedł; lud tutejszy zrósł się także z twoją rodziną, bez ciebie, panie, i jemu by tu było ciężko. Zresztą racz pan i to wziąć na uwagę, że tu jesteś jedynym polskim dziedzicem, który ideę naszą reprezentuje i jej broni, jeżlibyś więc ustąpił, baron z Komarowa zostałby w tych stronach panem wszechwładnym.

— Ależ jabym Trzcińca nie sprzedał ani jemu, ani żadnemu innemu niemcowi.

— Choćbyś pan nawet tego nie uczynił, to wielkie jeszcze pytanie, czy nie pomyślałby o tem twój następca, zwłaszcza jeżliby się zniechęcił, o co tu nie trudno. Dla tego, panie Henryku, weź Boga na pomoc i dla dobra, jeśli już nie swego, to kraju, zostań z nami!

P. Miliński przestał się wahać. Myśl, która mu wśród zgryzot do głowy przyszła, po sło-

wach księdza natychmiast pierzchła, bo czyż byłby wstanie wyzuć się z majątku familijnego i porzucić zakątek, w którym tylko on jeden cały naród reprezentował? Zaiste, tego nie popełniłby za żadne skarby świata.

Nastąpił wyjazd do wód, zkąd żonę przywiózł. Żenił się nie dla tego tylko, by posiąść żkobietę młodą, piękną, rozumną, którą za ideał poczytywał, a którą ukochał całą potęgą duszy wrażliwej i serca dotąd niezepsutego; on stokroć więcej w tej myśli zawiódł ją do ołtarza, że w przyszłej życia towarzyszce spodziewał się mieć kochającą żonę, wierną przyjaciółkę i skuteczną podporę. Jeżli kto, to on, mieszkający tu, jakby na pustyni i wśród nieprzyjaźnych warunków, potrzebował duszy co by go rozumiała, serca coby w takt z jego sercem biło, rozumu, któryby jego rozumowi zawsze z pomocą spieszył. Gdyby mu kto wtedy był powiedział, ale na podstawie niezbitych dowodów, że ta śliczna istota, gdy wyjdzie za niego, nie ziści wszystkich jego marzeń, to jakkolwiek bardzo ją kochał, byłby natychmiast z Marienbadu wyjechał, by jej więcej nie widzieć. Zahartowany w pracy i w walce z przeciwnościami, zbyt poważnie zapatrywał się na życie, na jego potrzeby, obowiązki i cele, iżby dla dogodzenia samej namiętności, mógł był całą przyszłość na kartę stawiać.

Czy Eleonora ziściła jego marzenia?

W pierwszych miesiącach, jak wiemy, tak był odurzony szczęściem, które osiągnął, że o tem nie myślał. Zresztą rozumiał, że osobę, jak ona, młodą i od dziecka wśród samych przyjemności życia wychowaną, musiało w Trzcińcu spotkać rozczarowanie. Nie tego spodziewała się, co znalazła. Jak dotąd, żyła ciągle wśród gwaru największego — teraz ujrzała się w miejscowości cichej, głuchej, nudnej. Henryk to rozumiał i dla tego wcale się nie dziwił, że czoło młodej kobiety, było w początkach lekko zasępione. Aby chmury rozwiać, spełniał więc każde jej pragnienie, wierzył bowiem. że to niedługo potrwa i ona przywyknie do nowych życia warunków.

Tak mijały miesiące, wszakże ku wielkiemu jego zmartwieniu, zmiana na lepsze jakoś nie następowała. Wprawdzie jej czoło nie było więcej zasępione, za to wyraz całej twarzy zrobił się taki poważny i zimny, że mąż patrząc na nią nie raz myślał, ażali nie było lepsze dawniejsze niezadowolenie, które z czasem mogło pierzchnąć, od tego spokoju, pod którym zdawał się ukrywać chłód niezmierny, wiecznie jednakowy.

Gdy sobie przypomniał, jak Eleonora w Marienbadzie wyglądała, to niestety, nie mógł nie przyznać, że teraźniejsza jej fizjognomja, była więcej niż kiedykolwiek do ówczesnej podobna. Spokój i powagę, te cechy wybitne piękności klasycznych, widział zawsze na jej twarzy, lecz wtedy ona się przynajmniej niekiedy uśmiechała, ożywiała, nawet umiała być zalotną; przeciwnie dziś wszystko to gdzieś zniknęło, zostały zaś jedynie przymioty bogiń greckich, piękne wprawdzie jak sztuka, lecz i zimne jak marmur, z którego mistrze kuli Minerwy i Diany.

Gospodarstwa nie lubiła, nawet go unikała Ogródek kwiatowy, tylko o tyle ją interesował, o ile sama mogła zeń korzystać. Zerwała ten lub ów kwiat, wetknęła go we włosy i szła dalej, nie zwracając więcej uwagi na żywe kobierce, któremi mąż kazał ogródek zaścielić, by wśród kwiatów powodzi, jego bogini tem piękniejsza się wydawała.

Budziła się bardzo póżno, niekiedy dopiero koło południa i przed toaletą trawiła najmniej dwie godziny. Przez cały ten czas, prócz panny służącej, która ją czesała i ubierała. nie śmiał nikt wejść do jej pokoju. Do tego zwyczaju zastosowywał się nawet sam mąż, gdyż kilkakrotnie dała mu do zrozumienia, że „nie chce być żenowaną.“ Gdy się nareszcie drzwi od jej sypialni otworzyły, była już tak starannie ubrana, że mogła zaraz wizyty przyjmować, ale że w Trzcińcu trudno było o gości, więc przyprowadzano jej tylko dzieci, które w czoła całowała. Niedługo one jednak przy niej się zatrzymywały, matka bowiem brała zaraz jaki romans do ręki, bądź do fortepianu siadała, bądź też przechodziła do swego buduaru, nazywającym się pracownią. aby malować jaki krajobraz lub Madonnę. Dzieci w takich razach biegły z krzykiem radosnym do cioci Antosi, która sama jak dziecko z niemi się bawiła.

Przy objedzie, rozmawiała z mężem i siostrą o rzeczach tylko poważnych; najchętnej o literaturze i polityce, dzienniki bowiem odczytywała pilnie od deski do deski, niekiedy przyszedł na tapet jaki skandal głośny, jeżli o nim pisma donosiły, a czasem, choć to rzadko się zdarzało, cofała się pamięcią w przeszłość, by opowiedzieć jaki epizod ze swego życia, rozgrywający się najczęściej na parkietach wielkoświatowych salonów. Ilekroć dotknęła tych wspomnień, jej oczy jak brylanty wtedy pałały, twarz robiła się jaśniejsza, nawet uśmiech na ustach się pojawiał, w przeszłości bowiem, żadna kobieta, tyle, co ona, nie zapisała hołdów i tryumfów! Mąż słuchając końce wąsów podwijał i ustami przyciskał, ale milczał i miał oczy spuszczone. Tylko raz się zdarzyło, że gdy pewnego dnia, żona opowiadała z żywością u niej niewidywaną, jak na balu u marszałka szlachty ukraińskiej, pewien książę wręczył jej bukiet w imieniu młodzieży, która ją swoją królową okrzyknęła — on głowę podniósł i do niej się zwracając, rzekł z ironicznym uśmiechem:

— Zapewne, aby, jako królowa, nie zrobić mezaljansu, nie wybrałaś wtedy żadnego ze swych poddanych...

Żona okiem gniewnie błysnęła, nawet lekko pobladła, lecz mimo to odpowiedziała spokojnie:

— Widać, że już takie było moje przeznaczenie.

Jednakże od tego dnia, nigdy już nie wspominała o swoich tryumfach.

Po objedzie, czas jej schodził tak samo jak przed południem; wieczorem, przy herbacie, rozmowa toczyła się najmniej dwie godziny, ale monotonna, nieożywiona, prawie nudna; potem mąż, całodzienną pracą utrudzony, kładł się spać, żona zaś brała w rękę romans, który najczęściej do północy czytała. Cały ten czas, panna służąca, musiała czuwać w przedpokoju, aby być gotową na pierwsze jej wezwanie. Nie można powiedzieć, żeby sługom dokuczała: jak dotąd, żadnej jeszcze nie uderzyła, przykrych słów także nigdy im nie mówiła, ilekroć gniew nią miotał, siniała tylko na twarzy, lecz usta miała zawsze zaciśnięte, często zdarzało się nawet, że im podarunki robiła, a mimo to sługi tak ogólnie jej nie lubiły, że między niemi nie znalazłaby się ani jedna, żeby pod tym względem innego była zdania.

Jeżeli Antosia pytała kiedy tej lub owej, czemu chętnie nie idzie do pani, gdy ta dzwoni, lecz zawsze wtedy drugą wypycha, każda jednakowo odpowiadała:

— Bo pani nigdy przyjemnego słowa nie powie, a zawsze jakoś tak patrzy, że aż strach zbiera.

Na ich szczęście, nie wiele miały one z nią relacyj, właściwą bowiem gospodynią domu, była Antosia. Ta odbierała od siotry tylko rozkazy ogólne, choć i te nie zawsze, szczegóły zaś sama układała. Ona tedy znosiła się z kucharzem, klucznicą, ogrodnikiem i babą od drobiu; ona zajmowała się dziećmi, spała w ich pokoju, rano myła je i czesała, potem wychodziła z niemi na przechadzkę; ona pamiętała o całej bieliźnie, ona nareszcie myślała o tysiącznych drobiazgach domowych. Szwagier patrząc na nią, często zapytywał się w duchu, coby się też z jego domem stało, gdyby w nim zabrakło tej cichej, niepokaźnej a tak skrzętnej gospodyni.

Dzieci nie miały także do matki wielkiego zaufania. Ilekroć weszły do jej pokoju, patrzyły na nią jakby z bojaźnią; w jej obecności żadne nie odezwało się głośniej, matka bowiem takie wybryki zawsze surowo karciła; objad, choć przy osobnym stoliku, jadły z przymusem, i tylko czekały, kiedy się skończy; żadne do matki nie przyszło z własnej woli, by się z nią popieścić, i żadne nigdy o nic jej nie zapytało. Za to ilekroć mogły oderwać się od niej, czyniły to z wielką radością, gdyż tylko poza jej plecami mogły być sobą, dziećmi.

Ktokolwiek w Trzcińcu zabawiłby dni kilka i przypatrzył się uważnie wyniosłej postawie pani Eleonory, jej ciemnym i bujnym włosom, które nad białem a wiecznie gładkiem czołem starannie były ułożone; jej oczom dużym, niebieskim a zawsze dumnie spoglądającym; jej ruchom okrągłym, poważnym a wdzięku pełnym; nareszcie ktoby posłuchał jej oględnej konwersacji z mężem, siostrą i dziećmi, ten musiałby powiedzieć, że ta osoba jest podobną do nieszczęśliwej królowej, która przez zbieg fatalnych okoliczności, znalazła się na pustkowiu, wśród istot o całe niebo od siebie niższych, których towarzystwo tylko dla tego toleruje, że musi Ona była pod każdym względem doskonałą, ci zaś, co ją otaczali, nie umieli nawet myślami wznieść się na tę wyżynę, na której wszechwładnie królowała.

Co mąż o niej sądził, tego nikt nie wiedział, dotąd bowiem jeszcze się nie zdarzyło, żeby o żonie z kim rozmawiał. Tylko dawna kucharka, a teraźniejsza dozorczyni domu, która znała go od dziecka, w poufnej ze służbą pogadance nie raz wspominała, że pan po ślubie całkiem inaczej wyglądał, bo wtedy zawsze był z panią i tylko śledził każde jej skinienie, teraz zaś, jak ją zobaczy, to się nawet nie uśmiechnie, czasem bardziej się zachmurzy, w ogrodzie lub w polu rzadko do niej słowo przemówi i tak się zachowuje, jakby mu była całkiem obca

XIV

P Miliński idąc drogą w stronę Komarowa, może o tem samem myślał, skoro twarz miał bardziej niż przedtem zasępioną i oczy spuszczone. Jeżeli cierpiał kiedy, zawsze krył ból w sobie i nigdy go nie zdradzał. Głębię jego serca znał prawdopodobnie jeden tylko ks. Błażej, lecz ten jako spowiednik, umiał milczeć.

Szedł powoli, w myślach ciągle zatopiony i dopiero wtedy głowę podniósł, gdy o kilka kroków przed sobą turkot usłyszał, który nagle ustał.

— Dzień dobry panu! dzień dobry! — zawołał ktoś po polsku, lecz głosem charczącym.

— A! pan Silber!.. Jak się pan ma.

Ten, co pierwszy zagadał, siedział w wózku jednokonnym i sam powoził. Był już dobrze szpakowaty, i miał rysy tak charakterystyczne, że choćby nawet ust nie otwierał, każdy musiałby od razu poznać w nim żyda. Ubrany był przyzwoicie.

— Dokąd pan Bóg prowadzi? — p. Miliński zapytał.

— Jadę do Trzcińca na chwileczkę; mam tam kilka interesów.

— Jeżeli panu czas pozwoli, to zechciej z powrotem do mnie wstąpić. Chciałbym z panem o czemś pomówić.

— Bardzo chętnie. A zastanę pana w domu, bo ja za godzinę najpóźniej będę wracał?

— Nie bój się, panie Silber, z pewnością mnie zastaniesz. Wyszedłem się tylko przejść.

*

— Kiedy tak, to do widzenia!

— Do widzenia!

To powiedziawszy, podał p. Milińskiemu rękę, cmoknął na konia i odjechał.

Pan Miliński zszedł z drogi do lasu i tamtędy, przez pola, skierował się ku domowi.

Silber jechał tymczasem prosto do wsi, a gdy się z pierwszym domem zrównał, koń, który biegł dotąd kłusem wyciągniętym, stanął jak wryty. Żyd rzucił cugle na koziołek i wszedł do domu. W kilka minut znowu się zjawił, aby udać się do następnego domu Koń szedł krok w krok za nim i przed każdą furtą sam stawał.

Służył on już długo swemu panu, blisko lat dziesięć, więc też znał jego zwyczaje. Silber mieszkał w najbliższem miasteczku powiatowem, gdzie od lat czterdziestu zajmował się drobnym handlem, a chociaż już od dawna zaliczano go do kupców rozporządzających krociami, mimo to dotąd takim pozostał jakim był przed pół wiekiem. Jego synowie wykierowawszy się już na panów, w całem znaczeniu tego wyrazu robili interesa tylko na wielką skalę; przeciwnie on sam został wierny systemowi, któremu swoją fortunę zawdzięczał. System ten zaś polegał na utrzymywaniu ożywionych stosunków z wszystkimi, na trzy mile w koło i na szanowaniu każdego, choćby na pozór najdrobniejszego nawet interesu. Od jednych tedy kupował zboże; od drugich bydło, masło, jaja, drób; trzecim służył za pośrednika w tym lub owym interesie; innym znowu bądź sam pieniędzy pożyczał, bądź im gdzie indziej kredyt wyrabiał. Znając do koła swego miasteczka wszystkich bez wyjątku, tak dalece, że nawet wiedział, jak się gdzie dzieci nazywały, umiał dla każdego stać się niezbędnym i chociaż nie zawsze dużo zarabiał, za to jego dochody były tak częste, że z nich rok rocznie znaczne kwoty urastały.

Co miesiąc regularnie zaprzęgał konia do wózka i sam powożąc, taki bowiem sposób podróżowania najtaniej go kosztował, w ciągu dni kilku objeżdżał wsie okoliczne, w których odwidzał swoich znajomych. Tym sposobem najłatwiej się dowiadywał, gdzie było co do zrobienia i jeżeli tylko zobaczył, że interes korzyść mu przedstawiał, pewnie go zrobił.

Na jednej z takich objażdżek, znajdował się właśnie teraz.

Ponieważ dnia tego, prócz starców i dzieci, wszyscy mieszkańcy byli w polu, przeto Silber wiedząc, iż o interesie nigdzie mowy nie będzie, w żadnym domu dłużej się nie zatrzymywał, tylko wszędzie zapowiadał, że za dni kilka znowu do nich wróci. Było to delikatne przypomnienie, aby gospodarz czekał na niego ze swemi płodami i nikomu innemu ich nie sprzedawał, gdyż on, Silber, da najlepszą cenę.

Obszedłszy tak wieś całą, zbliżył się nakoniec do mieszkania Wojciecha Żołędziaka. Tu, prawdopodobnie, spodziewał się dłużej zatrzymać, skoro zamiast konia przed domem zostawić, wprowadził go na podwórze i wyjąwszy z wózka garść siana, rzucił ją na ziemię, by siwosz miał czem nudę zabić

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Czemuż go raczej nie zainterpelowano o przymioty *dżinu i whisky*? O tem byłby potrafił rezonować. Pani de Moisieux była jak na torturach, rada by mu była podsunąć deskę ratunku, mieniła się co chwila na twarzy rzucała się jakby ją kąsała tarantula, chłodząc się wachlarzem nieustannie. Pan Cantarel był dziwnie zadumany. Margrabina postąpiła z nim, jak owa sowa w bajce, odmalowała mu swojego jedynaka iż jest: „Piękny, miły, układny, po nad towarzyszów!“

Zdawało mu się iż go zmora dręczy, przecierał oczy, głową potrząsając miłosiernie:

— Jeżeli tego cudaka — szeptał sam do siebie — zrobią kiedy drugim sekretarzem w ambasadzie, to chyba jego nosa nie zobaczą.. Muszę polecić margrabinie aby go do tego czasu zamknęła do pudełka

Było by rozumniej ze strony matki, przestrzedz szczerze i otwarcie pana Cantarel, iż ten śliczny chłopczyk nie znosi wina. Gospodarz nalewał gościowi bezustannie, dziwiąc się iż zawsze kieliszek próżnym zastawał. Gaston uczuł szum w głowie i przepadła wszelka skromność i wstrzemięźliwość! Rozzuchwalił się, popuścił cugli; pływak, który zrazu ostrożnie trzymał się brzegu, jednym skokiem znalazł się na pełnem morzu, narażony na wszelkie hazardy i niebezpieczeństwa. Margrabina drżała i miała czego! Sądziła, iż dobrze czyni nakazując synowi, aby popisywał się ile możności zasadami demokratycznemi i radykalnemi; zapowiedziała mu, iż jego cała przyszłość od tego zawisła. Zapamiętał to sobie, czekał tylko na odwagę i odwaga się znalazła. Najgorzej radzić głupcom; na to li używają rozumu drugich by potęgować własną głupotę, którą znieść można pod tym jedynie warunkiem, żeby ją podano z własnym sosem

— Mów, co chcesz, panie Cantarel — krzyknął, wybębniając na stole marsyljankę — Amerykanie wyprzedzili nas bardziej, niż byś się pan spodziewał. Nie tylko znieśli niewolnictwo, ale nawet służebniczość. Jak mię pan widzisz, nie mogłem dostać służącego w New-Jorku. Wielka to niewygoda, zasady jednak przedewszystkiem! Sług nie potrzeba w państwie demokratycznem! Każdy wyborcą, wszyscy równi. Ja, bo widzisz, panie Cantarel, podobnym do ciebie w zasadach, uważam tych tu wysokich drabów jako mnie równych.

Draby byli tak doskonale wytresowani, iż żaden ani okiem nie mrugnął, można się było jednak spodziewać, iż wynagrodzili to sobie znalazłszy się w przedpokoju Pan

Cantarel skrzywił się straszliwie i przez kilka minut zapanowało w sali głuche milczenie; można było słyszeć muchę, gdyby one w styczniu latały i brzęczały.

Gaston ani się domyślał, jak fatalne wrażenie wywołał swoim frazesem. Wychylił kieliszek wina, które mu wielce zachwalał pan Cantarel i wydął usta pogardliwie:

— No, zapewne., wcale nie złe — bąknął — chociaż, mówiąc szczerze, wszystkie wasze wina wydają mi się syropkami dla dzieci od kaszlu. Szklanka *whisky* to mi napitek! Rozgrzewa, wzmacnia i nie wiele kosztuje. Ręczę, panie Cantarel, iż wiesz dokładnie, ile zapłaciłeś za każdą taką butelczynę, i powiesz dziś wieczór: — Wytrąbili mi wina więcej niż za sto franków. — Mój papa dostał był raz od księcia Metternicha kosz Johannisberga. Nazajutrz miał gości na objad, oddając tedy butelkę lokajowi, szepnął mu na ucho: — Johannisberg... tylko oszczędnie z nim! — Bałwan lokaj idzie w kółko i powtarza każdemu zcicha nalewając: — Johannisberg panowie! tylko oszczędnie z nim! — Papa wypędził go natychmiast. Na honor, głupiec był z niego niezrównany, nieprawdaż?

Za chwilę jeden z owych drabów, którzy byli z nim na równi nalał mu w kieliszek *Chateau - Lafite*. Szepnął mu okiem mrugnąwszy poufale:

— Eh! kochanku, *Chateau Lafite* oszczędnie z niem!

Uszczęśliwiony żarcikiem delikatnym i przyjemnym, wybuchnął głośnym śmiechem. Zanosił się od śmiechu, mało się nie udusił. Aby go uciszyć, margrabina musiała kopnąć go nogą z całej siły po pod stół w prawą łydkę. Tę mowę najłatwiej jeszcze pojmował i matka też z często tym językiem do niego przemawiała.

Kto był w tej chwili w siódmem niebie, to pani Cantarel. Nie posiadała się ona z radości, aż serce jej biło tętnem przyspieszonem. Brednie syna, trwoga smiertelna matki, osłupienie pana Cantarel. były dla niej źródłem uciechy najwyższej i niczem niezamąconej, którą zdradzał uśmieszek złośliwy.

Gdy przeszli do salonu, Gaston był karmazynowy, oczy mu na wierzch wysadziło, tracił resztę przytomności. Margrabina przewidywała katastrofę. Spojrzała na niego ostro, wzrokiem, którym pogromca lwów wzywa dzikie bestje do porządku, skoro spostrzeże w nich chętkę do emancypacji i szepnęła mu do ucha:

— Pójdź się wytrzeźwić na świeżem powietrzu.

Głośno zaś dodała, tonem pieszczotliwym:

— Synu drogi! przynieś fotografie przywiezione z Ameryki; jestem pewna, iż panna Maulabret przejrzy je z prawdziwą przyjemnością.

Spuścił głowę i usłuchał. Gdy wrócił, czuć go było prostym obrzydliwym tytoniem, ale wydawał się o tyle spokojnym, o ile wyglądał zielonkowato-popielatym. Złożył na stole sporą tekę, którą niósł pod pachą i zaczął ją rozpakowywać. Wzbudzał w Jecie litość głęboką; uważała go za istotę od natury upośledzoną, nieszczęśliwą, za rodzaj kaleki na umyśle; jej zaś serce Siostry Miłosierdzia, interesowało się wszelkiem kalectwem. Podczas gdy pan Cantarel na drugim końcu salonu, kazał podziwiać margrabinie świeżo nabytego Lancret'a, którego kupił mu w pałacu Druot rzeczoznawca, poczem odświeżył go i odwerniksował, Jetta usiadła z całą uprzejmością obok Gastona i swoim głosem najsłodszym prosiła go o tłómaczenie co to i owo przedstawia? Pokazało się, iż owe widoki sam margrabia zdejmował, nauczywszy się nieco sztuki fotograficznej. Komentarz był tu niezbędny, fotografie bowiem były dziwnie blade i niewyraźne. Na nieszczęście, zostawiono na stole w salonie tacę z likworami; pokusa była nadto wielka, nalał sobie spory kieliszek *fine - champagne* wychylił duszkiem i na nowo mu w głowie zaćmiło. Zachował na koniec widok Niagary, utrzymując, iż to było jego arcydziełem. Wsadził karton pod sam nos Jecie, tak że musiała się cofnąć aby coś zobaczyć. Tym szybkim ruchem stanik jej cokolwiek z ramion się zsunął, odsłaniając okrągłość biustu Spostrzegła, iż na jego ustach odętych igra uśmiech Fauna i że wlepił w nią spojrzenie bezczelne, jedno z tych, któremi rozbiera się kobietę. Rumieniąc się ze wstydu i oburzenia, upuściła na posadzkę widok Niagary, zerwała się jak oparzona, przebiegła salon i schroniła się pod skrzydła pani Cantarel, siadając obok niej na kanapce. Ta spytała ją zdziwiona:

— Cóż to się stało, moja droga? Co ci jest, Jetto?

Jakkolwiek był zajęty margrabiną i swoim Lancret'em, pan Cantarel spostrzegł również Jetty nagłą ucieczkę i zawołał:

— Ejże! cóż to znaczy, dzieweczko?

— Nadtoś pan ciekawy: szpilka ją ukłuła — wtrąciła pani Cantarel.

I nachyliwszy się nad Jettą, udawała że wpina szpilkę najniewinniejszą, której ani się przyśniło ruszyć ze swego miejsca.

— Tam do djabła! — zaśmiał się rubasznie — Można znieść spokojniej podobną bagatelkę. Przyzwyczaisz się mała do tego!

Jetta była wdzięczną niesłychanie pani Cantarel, iż ją nazwała po imieniu, czego nigdy przedtem nie czyniła i że pospieszyła jej na ratunek. Podniosła wzrok na jej twarz bladą, chcąc jej bodaj oczami podziękować i spotkała się ze spojrzeniem pani Cantarel, które wyrażało tylko lodowatą obojętność. Wtedy żywo odczuła, iż w latach ośmnastu, nie posiadając matki, jest się straszliwie samotną i w salonach kapiących od złota, i na całym świecie; zaledwie zdołała się od płaczu powstrzymać. Przypomniała sobie nagle, iż dawny prezydent trybunału powiedział jej:

— Strzeż się! — Łuska jej z ócz opadła, obaczyła prawdę nagą i fatalną. Chciano ją poślubić z tym idjotą, oddać z ciałem i duszą temu Faunowi! Nie to jeszcze jej serce rozdzierało. Uwierzyła była w deklamacje najczulsze, w szczerość przyjaźni okazywanej przez panią de Moisieux, a pani de Moisieux miała w tem wszystkiem swój projekcik. Zapewnienia, pieszczoty, wszystko było udaniem, sztuką, hypokryzją, byle dojść do celu. I z tego świat się składał; żyjąc na nim, nie można było wierzyć w nic i w nikogo.

Faun jednak nie myślał gonić za swoją zdobyczą; uważał jej ucieczkę za umizg po prostu i obiecywał sobie skorzystać z zaczepki w chwili i miejscu stosownem Obecnie marzył on o pewnej knajpie w New-Jorku, gdzie pędził godziny rozkoszne. Ładne dziewczęta, które się tam spotykało, nie stroiły żadnych grymasów, tam było o wiele wygodniej. Śniąc błogo, zdrzemnął się wreszcie, aż wkrótce zdradziło go głośne chrapanie.

Margrabina starała się wytłómaczyć swoje potomstwo trudami długiej podróży, rozbudziła synalka i z sobą uprowadziła. Nie doszła z nim była jeszcze do furtki, gdy zerwała się burza gwałtowna, która gromadziła się w jej łonie od kilku godzin. Niedoroda strzepnął palcami

jak kot, gdy go wodą zleją. Obojętny na grad pocisków najdotkliwszych, starał się li wytłómaczyć, opowiadając cały wypadek.

— O co bo się mama mię uczepiła? — wzruszył ramionami. — Mam zwyczaj patrzeć, gdy mi kto co pokazuje, zresztą mała wiedziała co robi. Była ona w dobrej szkole, ho! ho! ho!

— Jesteś ostatnim z głupców! — krzyknęła matka, doprowadzona do rozpaczy.

Jetta odeszła do siebie. Przechodząc przez gabinet, z małą biblioteczką, gdzie najchętniej przesiadywała, spostrzegła na konsoli list gruby, jeszcze nierozpieczętowany. Rozdarła kopertę. Znalazła w nim obrazek poświęcany, z krótką modlitewką i długie kazanie w trzech częściach od matki Amelji, o niebezpieczeństwie złych przykładów, o potrzebie zwalczania pokus, przeciwstawiając im tarczę wiary i przyłbicę Ducha świętego. Natychmiast chwyciła za pióro, zapisała na gorąco cztery bite stronnice, które można było streścić w tych słowach:

— O moja matko! nie lękaj się dla mnie pokus; to, com dotąd z nich poznała, nie jest ani ponętne, ani niebezpieczne!

Ulżyła sobie ciężaru pisząc i chciała pójść się położyć. Gdy otworzyła drzwi do saloniku, poprzedzającego jej pokój sypialny, stanęła jak wryta na progu. Uderzył ją istny cud, pyszne chrysantynum, puszczone w drzewko, wysokie na cztery stopy, którego spód rozrastał się w pień niemal, a korona zasiana setkami białych gwiazdeczek, ze złocistym środkiem, zdawała się ku niej nachylać, jakby jej chciała hołd oddać. Podziwiała piękność drzewka, oceniając również jego wartość. Temu lat sześć jej matka, na jakiejś wystawie ogrodniczej w Paryżu, spytała była o cenę drzewka podobnego i cofnęła się z przerażeniem, gdy jej za nie zaśpiewano dwa tysiące franków. Któż mógł sobie pozwolić podarunku tak kosztownego? Pociągnęła za taśmę od dzwonka, wybiegając jednocześnie na korytarz. Gdy wołała kogo ze służby, nawykła była robić połowę drogi naprzeciw. Przyzwyczajona obsłużyć swoich nędzarzy, nie lubiła kazać siebie obsługiwać. Spotkała pokojowę na ostatnim stopniu schodów; dowiedziawszy się od niej, po dokładnem zbadaniu, iż to cudo piękności przyniosło dwóch posłańców nieznanych w zamku, że nie chcieli powiedzieć skąd przyszli, zapewniali tylko, iż panna Maulabret, będzie wiedziała co to znaczy.

Wróciła do saloniku, obchodząc w koło kilka razy drzewko prześliczne. Tak kręcąc się przypomniała sobie, iż jedynie przed starym lekarzem zdradziła zamiłowanie specjalne do białego chryzantynum, że ten starzec atoli już nie żyje. Przyszła jej dziwna fantazja, licująca z jej umysłem skłonnym do mistycyzmu; rozsądek wyśmiał jednak ten pomysł szalony. Zadecydowała nareszcie, iż posłańców musiał wyprawić pan Vaugenis, stosując się w tem do ostatniej woli jej dziadka. Ponieważ wychodząc ze szpitalu nieraz jej się zdarzyło rozmawiać z umarłym, więc i teraz mu powiedziała:

— Kocham cię i będę kochała wiecznie; widzisz jednak sam, iż krok każdy, który stawiam wśród świata, prowadzi mnie nazad do szpitalu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Sam teraz pocisnął główkę miedzianą wśród ozdób stalowych sterczącą na prawym boku biurka. Tankred oddalił się tajnem przejściem, którędy dostawali się spiskowcy.

Któż atoli potrafi zbadać i określić czem są i zkąd powstają przeczucia? Te nocne odwidziny, uderzenie w bramę dziwne, metaliczne, jakby od okucia żelaznego odbił się młotek lub rękojeść pałasza, przejęło Tankreda dreszczem i wznieciło w jego dzielnej duszy jakieś złowrogie przeczucie, jakąś obawę instynktową. Na końcu korytarza tej samej szerokości i długości co alkowa, na pierwszym stopniu wschodów, zatrzymał się mimowolnie i słuch wytężył. Do bramy znowu gwałtownie i niecierpliwie zakołatano. W gabinecie otworzyło się jedno z okien oświetlonych.

Hrabia wsunął się nazad na palcach cichuteńko, patrząc i nadsłuchując przez szparę od drzwiczek alkowy, które nie były szczelnie zamknięte.

— Kto tam? — spytał Reynolds, przez okno się wychylając.

— Ja — odezwał się głos z dołu.

— Co za ja!

— Cóż to, Tomasz Reynolds nie poznaje już dobrych przyjaciół?

Ton głosu dziwnie ponury i sarkastyczny, przytem ostry i drażniący, jak syk węża, obudził w umyśle Tankreda jakieś wspomnienie nieuchwytne.

Kupiec musiał poznać dokładnie mówiącego, wybełkotał bowiem na nowo przerażony:

— Jakto! Więc to ty jesteś, panie pułkowniku? Proszę zaczekać, sam natychmiast otworzę! —Wziął lampę płonącą z biurka. Drżał jak w febrze i zaledwie mógł się na nogach utrzymać.

— Pułkownik! — dumał Tankred. — Jaki interes może mieć do kupca wojskowy i właśnie tej nocy?

Zaledwie Reynolds znikł za drzwiami, hrabia wszedł ostrożnie do pokoju zupełnie ciemnego. Przeczucie, niby jakiś głos tajemny szeptało mu, że powinien przeszkodzić i zażegnać wielkie nieszczęście.

Drzwi od sieni stały otworem. Tankred przeszedł cały pokój po omacku, z rękami naprzód wyciągniętemi, oddech niemal wstrzymując, a uczuwszy pod dłonią żelazną poręcz od głównych wschodów, chwycił za nią i głowę naprzód wytknął. Coraz więcej pragnął widzieć i słuchać.

Lampę postawiono na ostatnim stopniu. Nieznajomy wszedł już był do środka i rozmawiał dość żywo z gospodarzem, ale w zupełnej ciemności, po za kręgiem światła, który lampa roztaczała. Reynolds w rzeczy samej pragnął pozbyć się gościa jak najrychlej, ten atoli szedł dalej, nie zważając na prośby gospodarza. Zakończył wreszcie spór temi słowami:

— Nie! nie! kochany panie Tomaszu! Mów co chcesz a ja do jutra czekać nie chcę! Przychodzę w interesie na-

der ważnym i zwłoki nie cierpiącym. Nie w przedsionku świątyni, ale w samem *sanctnarium* musisz przyjąć natychmiast pułkownika Armstronga!

To nazwisko jak piorun w Tankreda uderzyło. Cofnął się żywo, dostał się nazad do alkowy i tu skrył się za firankami łóżka. A może go słuch omylił? Wzrok jednak omylić go nie może!

Reynolds wszedł pierwszy i lampę na biurku postawił. Prawie omdlewający usunął się na krzesło z głuchym jękiem. Tuż za nim kroczył nieznajomy, wzrostu bardzo słusznego, owinięty w płaszcz wojskowy, z kapeluszem stosowanym na oczy nasuniętym. Zrzucił z siebe jedno i drugie, a Tankred dłużej nie wątpił.

Był to nie kto inny, tylko fałszywy Herodias, Hoche'a morderca.

XII.

Zdrajca.

Zawsze ten sam ponury i dziki purytanin, z czaszką nisko przystrzyżoną i rudawą, rysami twarzy przypominający Cromwell'a.

— Czyśmy na pewno sami? — spytał na wstępie. A mimo potwierdzającej odpowiedzi, ze zbytku ostrożności własną ręką zamknął najprzód drzwi od korytarza, następnie drzwi od pokoju na klucz i na zasówkę. Zaglądnął nawet za kotarę nad łóżkiem rozpiętą. Tankreda jednak nie spostrzegł, bo ten wcisnął się w sam kąt, po-za łóżka krawędź wysoką.

Zupełnie uspokojony, pułkownik Armstrong przysunął sobie krzesło i zasiadł naprzeciw gospodarza.

— Ejże, panie Tomaszu! — pogroził mu od nosa tonem drwiącym — ślicznych rzeczy dowiedziałem się z powrotem... Co też to jegomość płatasz za figle!... Człowiek taki porządny, finansista, krezus! wdawać się w jakieś spiski, bunty, rewolucje!... Czy jest w tem sens jaki?! Dowiedz że się, iż wszystko odkryto, i gdyby nie ja, byłbyś na zawsze zgubiony!

— Niestety! — bąknął Reynolds ubezwładniony.

— I nie tylko byłbyś zgubiony, jako wierny króla poddany — mówił dalej pułkownik w tym samym tonie — ale w dodatku, zostałbyś bankrutem! Mówiono mi już o tobie, gdym przez Bristol przejeżdżał.. Ej, czy ja to tylko w Bristol słyszałem?... Do stu katów! przypominam sobie. W Londynie! w centrum *Royal Exchange*. Zapewniano mię najsolenniej, iż jesteś kompletnie zrujnowany!

— Zrujnowany! ja? — bełkotał na wpół ze strachu sparaliżowany — i pan pułkownik wierzy temu?

-- Mój drogi, mam u ciebie trochę pieniędzy ulokowanych,..

— Są każdej chwili na rozkazy.

— Czyż ich żądam?... Ot, tak słyszałem...

— Kłamią! kłamią bezczelnie.

— Tem lepiej, tem lepiej! Wiesz przecie, panie Tomaszu, jak ci jestem z serca przychylny. To też byłem gotów, gdyby te plotki się sprawdziły, ponieść dla ciebie pewną ofiarę.

Wyjął z zanadrza gruby pugilares i na biurku położył. Reynolds drgnął nerwowo. Instynkta czysto kupieckie opanowywały go wyłącznie, zagłuszając nawet głos sumienia.

— Panie pułkowniku! — bąkał wahająco —pocóż mam się kryć przed tobą? W rzeczy samej, znajduję się obecnie w położeniu cokolwiek kłopotliwem.. Zaburzenia na kontynencie... No, i w naszej własnej krainie... Miałem trochę nadziei — łudziłem się, iż z pomocą rewolucji możnaby łatwiej uregulować interesa — zlikwidować..

— Nie ma o czem mówić, — Amstrong nie pozwolił mu dokończyć.-- Wszystko ułoży się za jednym zachodem. Przyznajesz więc pan sam, że brak ci gotówki?

— Oh! tylko chwilowo! proszę mi wierzyć! lada dzień *Hunter* zawinie do portu..

— Czy masz pan jaki ładunek na tym okręcie? — wykrzyknął pułkownik na pozór z ogromnem zdziwieniem i przerażeniem, nadto jednak przesadzonem, aby mogło być prawdziwem.

— Ależ mam na niem, ni mniej ni więcej -— kupiec wlepił w mówiącego wzrok błędny — kaszmirów i materyj jedwabnych, za dwadzieścia tysięcy szterlingów.

— Pół miliona!.. Ach, co za nieszczęście!...

Na ten dowód współczucia, który zapowiadał coś strasznego, Reynolds skoczył w górę jakby miną podsadzony.

— Cóż takiego? — szepnął.

Armstrong z udanem wahaniem odpowiedział:

— Dowiedziałem się z dziennika... Ot, mam nawet numer w kieszeni, włożyłem go bezmyślnie... Jest! jest!.. Czytaj pan sam, tu, w tem miejscu...

Rozłożył gazetę na biurku, a widząc że kupiec ledwie przytomny siedzi, zaczął czytać sam w głos: „Statek angielski, ze Smyrny wracający, zatonął w nocy, z drugiego na trzeci września, w zatoce messeńskiej. O ile się zdaje, okręt nazywał się *Hunter*“.

Reynolds nieszczęśliwy zachwiał się, zatoczył jak pijany, lub jak ktoś rażony piorunem; i byłby głowę rozbił o róg okuty biura, gdyby go nie był ujął pułkownik w silne ramiona.

Armstrong przeciwnie, z dumą się wyprostował, z góry patrząc na pokonanego:— Doprowadziłem głupca, gdzie mieć chciałem!... Z duszą i z ciałem teraz do mnie należy.

Aż dotąd Tankred pytał w duchu ze zdumieniem, co znaczy ta cała komedja, odegrana przez Hoche'a mordercę? Zrozumiał nareszcie.

— Zrujnowany! zhańbiony! — jęczał Reynolds. — Bankructwo nieuchronne.

— Doskonale! — zawołał szatan wcielony. — Byłbyś może pomoc odrzucił, gdyby tylko o życie chodziło, ale przyjmiesz ją, by majątku nie stracić.

— Czyż to podobne?...

Otworzył pugilares i wyjął z dwóch przedziałek stos banknotów, wpychając je gwałtem w obie ręce kupcowi. Ten wziął je machinalnie, obracał, macał, ważył, oczom własnym nie wierząc. Zdawało mu się, iż wraca na świat jasny, słoneczny, z jakiejś czarnej bezdennej otchłani.

— Jakto? wybełkotał z trudnością—i pan gotów byś to zrobić dla mnie? Tak wielka suma!...

— Nie pożyczam ci jej, tylko oddaję na własność.

— Tyle pieniędzy! ale to być nie może!

— Ma się rozumieć, iż ja ich mieć nie mogłem. Przez moje ręce Pitt ci takowe przysyła. Trzeba atoli na nie zasłużyć.

— Jakim sposobem?...

— Nic łatwiejszego! —tłómaczył dalej pułkownik, głos mimowolnie do szeptu zniżając. — Nie jesteś-że jednym z członków tajnego komitetu? Napisz do spiskowców, wyznaczając im w twoim domu schadzkę w ważnej sprawie. Za tych kilka wierszy, które złożysz w moje ręce, pugilares wraz z pieniądzmi do ciebie należy.

Tankred wyciągnął już szpadę z pochwy!

— Mnie śmieć proponować podobną infamję! — kupiec zawołał oburzony.

— Słowa!... czcze słowa — pułkownik z krwią najzimniejszą zauważył. — Odmówisz, będziesz zhańbiony, w dodatku powieszą cię najniezawodniej. Przyjmiesz, jesteś wolny i bogaty!

— W jaką przepaść chcesz mnie wciągnąć kusicielu? łamał ręce kupiec nieszczęśliwy. — I to kto, kto? ty pułkowniku, przyjaciel braci Sheares, którego ogół uważał jako szczerego patrjotę?!

Armstrong odrzucił tonem uroczystym:

— Nie omylili się! Kocham moją ojczyznę, ale nie miłością bezmyślną zaściankową, jaką jest wasza. Moją ojczyzną nie jest ani Irlandja, ani Szkocja, ani Anglja. Jest nią Wielka-Brytania; trzy siostrzyce, które wy, głupcy, chcecie rozłączyć. Ja przeciwnie, pragnę je widzieć wiecznie razem, jako Trójcę nierozerwalną, dla której zaświta kiedyś jutrzenka wolności, która stanie się wtedy silną i niepokonaną. Szaleńcy, wy ośmielacie się deklamować o patrjotyzmie. Gdzież są wasi nieprzyjaciele? Czy w Anglji? Ależ bez niej jak ciało bez głowy, i cóż by was czekało? Anglja nawzajem nie może obejść się bez Irlandji, swojej ręki prawej, nie może również istnieć bez Szkocji, która stanowi jej lewe ramię. I organizm ludzki cierpi i usycha częstokroć, skoro mu odetną którykolwiek z członków niezbędnych, a wy się dziwicie, że Wielka-Brytanja nie chce pozwolić na amputację jednego z ramion swoich. Wy upatrujecie w tej obronie rozpaczliwej praw odwiecznych nienawiść szczepową, chęć gnębienia was, chęć zaglady... Głupcy! Szaleńcy bezmyślni!

Tankred patrzał w tej chwili na rodzaj przemienienia. Wielkość ponura tego dzikiego fanatyka, teraz dopiero w całej grozie występowała.

— Wrogiem naszym wrodzonym, jedynym — unosił się coraz bardziej pułkownik, jest Francja! — Ta sama Francja, która jak za czasów Shakespeare'a, uważa się za wykonawczynię woli Boga samego, która w sobie widząc Rzym, nas traktuje pogardliwie, mając nas tylko za Kartaginę i radaby urość w potęgę przez naszą zagladę. Co do braci Sheares. — tu złamał się głos mówiącego, jakby nagłe wzruszenie go opanowało, oddech w piersi zapierając — bracia Sheares, kończył ciężko westchnąwszy, są dobrzy i zacni, kocham ich nawet. Jeszcze dziś wieczór u nich spędziłem. Żona sir Henryka śpiewała przy dźwiękach arfy, cudownie. Miałem łzy w oczach. Cóż mnie jednak obchodzą bracia Sheares? co mnie może obchodzić świat cały? Po-nad wszelkie przyjaźnie osobiste, mam wiecznie przed oczami zjawisko nadziemskie, dumne, wielkie, promieniste, dla którego trzeba wszystko i wszystkich poświęcić: „Ojczyznę!“

Reynolds schylił głowę. Był widocznie na pół przekonany.

— Wybieraj!—naglił Armstrong.— Z jednej strony ocalenie i szacunek powszechny.

— Szacunek — uśmiechnął się gorzko Reynolds.

— Tak jest!—potwierdził pułkownik — denuncjacja bowiem przestaje być hańbą, skoro kraj cały zasłania przed okropnościami wojny domowej. Któżby nam mógł za zbrodnię poczytać, iż chcąc przeszkodzić katastrofie, którаby krwi strumienie kosztowała, poświęcimy raczej jednostki, i im upuścimy kropel kilka?! Pisz Reynoldzie!... pisz natychmiast!... ja tak chcę!... ja ci rozkazuję!...

— Niepotrzebna! — szepnął zdrajca. — Za godzinę najdalej, mają tu się zejść wszyscy!

— Judaszu! — rzekł po cichu Tankred, prostując się zwolna ze szpadą w dłoni, gotów rzucić się naprzód każdej chwili.

— Oh! Nie mamy zatem czasu do stracenia. Armstrong żywo ku drzwiom głównym postąpił. Ale już mu Tankred drogę zastępywał wołając tonem groźnym:

— Ani kroku dalej!.. Nie pozwalam!

XIII
Walka.

Pojawienie się nagłe Tankreda, wywarło na obecnych wrażenie piorunujące! Jego postawa, słowa energicznie wypowiedziane, dowodziły aż nadto niezłomne postanowienie. Drzwi sobą zasłaniał i wzywał do walki pułkownika. Ten cofnął się ku ścianie, wyciągając również szpadę z pochwy. Reynolds, nie mniej zdziwiony, lecz w trwodze jeszcze większej, znalazł broń inną, tuż pod ręką, na biurku. Pochwycił garść banknotów, a biegnąc z niemi do hrabiego:

— Nie gub mnie pan! — wołał błagalnie. — Oto pieniądze!... bardzo wiele pieniędzy!.. część tobie się należąca!...

— Judaszu! — krzyknął teraz hrabia głośno.

A ponieważ nikczemnik, zbliżył się do niego na długość ramienia, zadał mu w głowę szabli rękojeścią cios straszliwy. Reynolds zachwiał się, lecąc twarzą do ziemi. Tankred chciał się ustrzedz, aby nie padł na niego, w tej chwili jednak, spostrzegł na drugim końcu komnaty pułkownika wyciągającego z zanadrza parę pistoletów. Z szybkością błyskawiczną hrabia porwał kupca za ramiona i zasłonił się nim niby puklerzem.

Pierwsza kula świsnęła tuż nad głową Tankreda, druga z głuchym odgłosem, utkwiła głęboko pomiędzy kupca łopatkami, który drgał i zaczął się zwijać w konwulsjach.

Tankred odrzucił trupa jako tarczę już niepotrzebną, pułkownik bowiem wystrzelił oba pistolety.

— Miałbym to samo na pańskie usługi — przemówił ze spokojem lodowatym — i byłbym w prawie oddać pięknem za nadobne! Szlachcic francuzki jednak będzie zawsze pogardzał skrytobójstwem... A więc dalej! broń się pan!

I ze szpadą podniesioną, szedł na przeciwnika. To jednak tamtego wcale nie zadawalniało. Schroniwszy się tedy za fotel wysoki, rzekł wyniośle:

— Mnie właśnie prawo przysługa spytać pana, po co u licha mięszasz się w sprawę polityczną, która ciebie nic a nic obchodzić nie powinna?

Z grzecznością najbardziej impertynencką, Tankred odrzucił:

— Nie idzie mi też bynajmniej o politykę, panie łaskawy, tylko o pewne wyzwanie, którą raczyłeś przyjąć w Wetzlar. Przybyłem umyślnie do Anglji, aby stawić się na rendez-vous. Czyżeś pan już zapomniał o owym bileciku, który mnie zapewniał, iż będziesz gotów broń ze mną skrzyżować, gdziekolwiek się po raz pierwszy spotkamy? Tu pana widzę... a zatem... proszę!

Armstrong rzucił się z wściekłością: — Dość tych żartów mój panie! Ani czas, ani tu miejsce po temu!

choćby tak było,. nadto się spieszę. Nie mogę! nie chcę! Później!

— Oho! bardzo przepraszam! — roześmiał się drwiąco hrabia. — Wymknął byś mi się pan tak samo jak w Londynie! Nic z tego bratku! Do razu sztuka! Broń się, powtarzam! Jeden z nas inaczej ztąd nie wyjdzie, tylko po trupie drugiego!

— Skoro tak! — ryknął morderca zapieniony — ja przejdę!

I myśląc, że uprzedzi przeciwnika, rzucił się jak tygrys na zdobycz upatrzoną. Tankred atoli już stał zasłonięty. Odpierał napady cięciami i rypostami, szybkiemi jak pioruny, których tajemnicę posiadała wówczas li francuzka szkoła szermierki. Pułkownik zrozumiał z kim ma do czynienia.

— Jedno słowo! — przemówił — widzę że to walka na serjo... Schwyciłeś mnie pan tak z nienacka!

— Nie wiem który z nas na ten zarzut zasłużył? — Tankred drwiąco zaprotestował.

— Pozwól mi pan dokończyć... Pragnę jedynie napisać słów kilka, do bardzo drogiej osoby.

— Hm! hm! — krzyknął Tankred z niedowierzaniem.

— Tego biletu.. tego testamentu — mówił dalej pułkownik — nawet nie zapieczętuję... Włożę go, ot tu!... do tego próżnego pugilaresu, a jeżeli zginę, oddasz mi pan moją wolę ostatnią podług wskazanego adresu.

Pugilares był ten sam z którego przed chwilą wyjął banknoty. — Spiesz się pan tylko! — hrabia zauważył — bo i mnie niemniej pilno.

Truciciel Hoche'a broń odłożył i usiadł na krześle, przed biurkiem. Pióro biegło szybko po papierze. Hrabia przez zbytek delikatności, usiadł trochę opodal. Tym razem słowa dotrzymując, pułkownik napisał kilka wierszy zaledwie. Podpisał, złożył w formie listu i wsunął do otwartego pugilaresu Potem podniósł się na krześle, jakby chciał pugilares wręczyć Tankredowi. Nim ten jednak miał czas się opamiętać i przeszkodzić czemukolwiek, już Armstrong wytłukł szybę silnem pięści uderzeniem i wyrzucając pugilares na ulicę:

— Wachmistrzu Ryans! — krzyknął. — Podnieś, co upadło i leć z rozkazem, co koń wyskoczy!

— Teraz możesz mię zamordować! — odezwał się do Tankreda, który go trzymał za gardło, z drwiącym szatańskim uśmiechem. — Dzieła dokonałem, temu już nie zdołasz przeszkodzić!

Usłyszano istotnie z dołu odpowiedź podkomendnego, a za chwilę tętent podków końskich po bruku.

— O! jaki głupiec ze mnie, żem ci mógł zaufać! — wykrzyknął hrabia wspaniały w gniewie i szlachetnem oburzeniu. — Setny głupiec. żem cię nie przybił do muru, jak drapieżnika, jak puhacza złowrogiego! Nie jestem jednak jak ty, podłym mordercą! Weź nazad broń, westchnij do Boga, proś go, o wszystkich twoich zbrodni odpuszczenie, bo On jest Sędzią sprawiedliwym i umrzeć musisz!

I uderzając go w twarz płazem szpady, cofnął się, aby przeciwnikowi dość miejsca zostawić. Walka rozpoczęła się na nowo, wściekła, zacięta, mordercza Tankred teraz nacierał. Armstrong bronił się tylko, ale z szybkością i pewnością szermierza wypróbowanego, który czeka li na chwilę sposobną aby skończyć jedną mistrzowską rypostą. Zdawał się niezwyciężonym, jak gdyby wszystkie członki miał ze stali. Skoro dostrzegł w przeciwniku oznaki znużenia, zaczął gwałtownie nacierać, a zmuszając Tankreda do cofania się, prowadził go w pewnym z góry obmyślonym kierunku. Coraz szybciej wstecz się posuwając, Tankred napotkał trupa Reynolds'a potknął się o niego i upadł. Na tę chwilę tylko czyhał przeciwnik. Oczy pułkownika błysnęły ogniem piekielnym. Ryknął jak zwierz dziki i pewny zwycięstwa, rzucił się na swoją ofiarę Ale Tankred już się podnosił, odzyskawszy równowagę, sparty na lewej ręce i lewem kolanie; lekką i zręczną rypostą usunął szpadę, którą już niemal piersi jego dotykał, a ramię prawe sztywnie wyciągnął... Armstrong własnym niemal ciężarem wbił sobie szpadę w piersi, po samą rękojeść.

XIV.

Fugit irreparabile.

Pułkownik Armstrong zabity, a przynajmniej ranny śmiertelnie, runął na swojego przeciwnika. Tankred powtórnie tym upadkiem na ziemię obalony, jednym rzutem uwolnił się od ciężaru. Mógł wreszcie złączyć się z przyjaciółmi; może potrafi ich jeszcze uratować! Czy mu tylko czasu na to wystarczy? W oka mgnieniu porwał płaszcz kapelusz, pocisnął guzik i już był na dole.

Cichość w około panowała, noc wydała mu się jeszcze czarniejszą. Zegar zaczął bić w pewnem oddaleniu. Nie byłaż to już schadzki godzina? Trzeba było koniesznie tej schadzce przeszkodzić, która obecnie stawała się niecną zasadzką, ale w jaki sposób? Hrabia nie wiedział gdzie szukać spiskowców. Miasto mu było nieznane. Nie mógł działać bez Jakóba pomocy. Latarnia morska oświetlająca tamę kamienną, przypomniała mu polecenie Jakóba.

— Zejdziemy się — powiedział odchodząc — w oberży pod „Znakami Irlandji".

Puścił się więc galopem. Stanąwszy nad brzegiem, spostrzegł dwie czerwone latarnie nad drzwiami domostwa i wszedł podług Jakóba wskazówki.

Wild-Irish nie zjawił się dotąd.

Niepodobna opisać niepokoju gorączkowego, który trawił Gaillefontena. Upływał kwandrans za kwandransem. Dłuższe oczekiwanie w bezczynności było niemożliwem, nie do zniesienia! Zawołał więc gospodarza i kazał sobie dać przewodnika nie do okrętu, ale do pałacu księżny Leister. Może tam jeszcze Edwarda zastanie?

Jakkolwiek pędził bez tchu, potrzebował dziesięciu minut, aby dojść ho pałacu. Fitz-Gerald już ztamtąd wyszedł. Zostawiwszy w tyle przewodnika, który nie mógł mu w biegu nastarczyć, Tankred wrócił pędem do oberży. Wyobrażał sobie przyjaciół otoczonych w domu zdrajcy, a na tę myśl od zmysłów odchodził! Leciał też dalej i dalej, jak opętany!

Na moście krwawym, potrącił jakąś kobietę. Upadła jak długa, a on się nie oglądnął, nie zatrzymał. Wreszcie znalazł się w oberży, w izdebce od dziedzińca i tu upadł na krzesło zadyszany. Jeszcze nikogo nie było! Zaledwie jednak miał czas złapać oddechu trochę w pierś kurczem ściśniętą, *Wild-Irish* stanął na progu. W kilku słowach Tankred oznajmił mu grożące niebezpieczeństwo.

Spiskowcy musieli już być na miejscu schadzki. Czy nie za późno ich ostrzegą? Obadwaj puścili się znowu ku domowi Reynolds'a. Nie zwalniając kroku, hrabia kończył opowiadanie. *Wild-Irish* zrozumiał całą donioslość owego świstka, przez szybę rozbitą wyrzuconego. Policja jest ostrzeżoną.

Trwoga, niepewność zabijająca, skrzydła im do nóg przypinała. Zbliżywszy się do Kildar-Street usłyszeli u góry niby szum złowrogi kroków i głosów ludzkich. Dalej na rogu, z którego widać było doskale front domu Reynolds'a, spostrzegli światło we wszystkich oknach.

— Dom zajęty! — szepnął *Wild-Irish*

— A może nie ma tam jeszcze lorda Edwarda! — Tankred zauważył.

Po przed okna rzęsiście oświetlone, przesuwały się cienie rozmaite. Widzieli nawet broń migającą. Ścigano kogoś widocznie; prawdopodobnie nawet walka wrzała tam zacięta. Drżąc z obawy i niecierpliwości posuwali się coraz dalej chociaż bardzo ostrożnie Słychać teraz było krzyki i wystrzały z wnętrza domu się wydobywające.

— Mordują ich! — krzyknął Tankred. — Naprzód! Na pomoc braciom naszym!

— Czyś pan zmysły utracił?! — *Wild-Irish* szepnął mu na ucho w pół chwytając go z całej siły. — Czyżeś nie zrozumiał! Czyż nie widzisz, że dom otoczony, przez całą niemal załogę?

Na progu w rzeczy samej, ukazali się konstable z pochodniami. W ich blasku olśniewającym, można było rozróżnić, po obu bokach ulicy, wyciągnięty szpaler podwójny, dragonów na koniach, a przed samą bramą domu, czworobok ściśnięty i bagnetami najeżony. Na szczęście *Wild-Irish* w czas się cofnął i Tankreda pociągnął po za mur narożnej kamienicy. Tym sposobem pozostali w cieniu niewidzialni. Jeden z oficerów coś zasłyszał widocznie, bo zwrócił konia w ich kierunku i krzyknął gromko:

— Kto idzie?

Że jednak tu i owdzie kwaterki w oknach otwierano i ukazywały się głowy ciekawych, a przerażonych nocnym napadem, dopytujące się co to ma znaczyć, oficer wytłumaczył sobie łatwo skąd chałas pochodził, i za nikim więcej nie śledził

Cóż mogli dwaj ludzie, przeciw całej załodze? Nic! nic zupełnie!

Wild-Irish wskazał ręką Tankredowi stos kamieni nieopodal przygotowany do budowania nowej kamienicy. Poza palisadą z desek ułożoną, mogli schronić się bezpiecznie i widzieć wszystko przez nikogo niedostrzeżeni Zobaczył też niebawem więźniów z domu po kolei wyprowadzanych, wśród podwójnego szpaleru z konnicy i piechoty. *Wild-Irish* wymieniał cicho jednego po drugim, w miarę jak się koło palisady przesuwli. Żadnego nie brakowało ze spiskowców, prócz lorda Edwarda. Cóż się z nim stać mogło? Dwaj konstable przeszli tuż po pod deski, za któremi stali oddech niemal tłumiąc nasi znajomi.

— No! — przemówił jeden z nich. — Z tymi przynajmniej nie było wielkiego zachodu. Wcale się bronić nie myśleli. Ale tamten! Lew prawdziwy! Zabił Ryans'a, zranił śmiertelnie sędziego Swan'a i żeby go za to nie był z nóg zwalił paląc z pistoletu major Sirr .

Reszta słów utonęła w przestrzeni. Tankred i *Wild-Irish*, drgnęli nerwowo, a bladość śmiertelna twa z im powlekła.

— Major Sirr! — mruknął Jakób — zapiszmi w pamięci to nazwisko!

— Cicho! — szepnął hrabia, za rękę go ścisnąwszy.

Nosze na ramionach żołnierzy, postępywały zwolna wzdłuż ulicy. Jeden z konstablów, oświetlał pochód smolnym kagańcem. Na noszach leżał ostatni z uwięzionych, przez pół okryty płaszczem i kołdrami, krwią zbryzganemi.. Może już trup tylko! Gdy go obok palisady niesiono, *Wild-Irish* i Tankred, zapominając o wszelkiej ostrożności, głowy podnieśli po nad ogrodzenie, aby lepiej mu się przypatrzeć.

Był to lord Edward.

Żył jeszcze. Blady jak płótno, był spokojny i na wszystko zrezygnowany. Piękne rysy ożywiał uśmiech łagodny, oczy miał przymknięte. Jeden z tragarzy, potknął się o kamień; ranny nagle poruszony, nie mógł stłumić jęku bolesnego. Towarzysze niedoli naprzód idący zatrzymali się, a jeden z nich, doktór Słowius Jumble, podbiegł ku noszom.

— Nic! nic! — uspokoił go Fitz-Gerald. — Kula utkwiła w ramieniu — Niczego się nie lękajcie!... tylko odważnie!

On, ranny, pocieszał i dodawał innym otuchy!

Gdy zniknęła im z oczu smutna i ponura procesja, gdy znowu w okół cisza głucha zaległa, Tankred i *Wild-Irish* wysunęli się z kryjówki, w milczeniu dłoń sobie podawszy

— Wracam w moje góry! — Jakób z cicha przemówił. — Zbiorę wszystkich których pewnym być mogę, aby w chwili decydującej, ostatniej, napaść na wojsko i odbić go lub zginąć w jego obronie!

— Ja zaś — rzekł hrabia zrozpaczony — zostanę w Dublinie czas jakiś. Czy będę mógł w czem dopomódz lordowi Edwardowi? *That is the question!* Przyrzekłem jednak miss Łucji czuwać nad jej bratem i słowa święcie dotrzymam!

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 30. Marca 1888 r.

Sic transit gloria mundi! – mówi jeden z kardynałów, gdy po obiorze nowego papieża, w obliczu wielkich dostojników kościoła i tłumów niezliczonych, palą okazały pałac papierowy, który niosą na czele procesji. — Tak przechodzi wielkość świata! — ten i ów w duchu sobie powtórzy, temu zaś, kogo ambicja pożera, łza ukradkiem w oku się zakręci. Czyż to samo nie przyszło na myśl wielkiemu Bismarkowi, gdy stanął przy śmiertelnych zwłokach cesarza Wilhelma? A bolesne westchnienie odnosił on nie do tego monarchy, który przez całe życie swoje jaśniał światłem pożyczanem, tylko do siebie samego, bo jak długo żył Wilhelm, on, Bismark, był pierwszym człowiekiem na świecie; ze śmiercią zaś cesarza usunął się natychmiast na plan drugi i takim, jakim widzieliśmy go jeszcze przed miesiącem, nigdy już nie będzie. Od lat dwudziestu kto rządził Niemcami? Bismark; kto dyktował prawa Europie? — Bismark; kto rozstrzygał o wojnie i pokoju? — Bismark; kogo sławiono, wielbiono, przeklinano? — Bismarka; na czyj głos czekano z ciekawością i obawą? — na głos Bismarka. Człowiek ten był alfą i omegą życia politycznego w Europie, jego zasady przenikały życie społeczne, nawet dostawały się do nauki, by i w niej głosić brutalnie, że siła stoi przed prawem! I czemu ten człowiek zawdzięczał szalone swoje powodzenie? Nie tyle wielkim zdolnościom, boć niejeden mąż genjalny umarł zapomniany, jeźli wypadki nie pozwoliły mu na

wierzch wypłynąć, ile szczęśliwemu dłań zbiegowi okoliczności że gdy on żył, równocześnie żył także król pruski Wilhelm, który zrozumiawszy iż orłem nie jest, powiedział sobie dobrodusznie: „Będę słuchał Bismarka. bo ten ma lepszą głowę niż ja.“ — I słuchał go ślepo, do ostatniej chwili życia, tak dalece, że za jego namową, chciał własnego syna od rządu usunąć. Prawdziwem cesarzem był tedy nie Wilhelm I, lecz Bismark I., a że za nim stały dwa miljony bagnetów, nie dziw więc, że i wpływ jego był niezmierny.. Wszystko jednak ma swój koniec. Stary cesarz umarł, na tron wstąpił człowiek innych zasad i przekonań, który ma sąd własny. I o to widzimy, że Bismark niknie, a na pierwszy plan występuje sympatyczna postać Fryderyka III Nie jeden mniema, że gdy po tym cesarzu, który lada dzień także umrzeć musi, przyjdzie jego syn, Wilhelm, wielki wielbiciel genjuszu żelaznego kanclerza, że wtedy Bismark stanie się znów dawnym władcą Europy. Próżne nadzieje! Choć by młody monarcha nie wiedzieć jak wielbił doradcę swego dziada, zawsze, jako młody, będzie miał swoją wolę, gdy przeciwnie oddawna zaumierający dziad nie miał żadnej; prócz tego znajdzie się wnuk w innych warunkach, otoczony nowymi ludźmi, więc już same okoliczności będą go odrywały od twórcy jedności niemieckiej. Cokolwiek więc nastąpi, ks. Bismark musi sobie powiedzieć, że rolę swoją wyspiewał, że ostatnia jego mowa przed dwoma miesiącami wygłoszona, była ostatnim jego wielkim tryumfem, i że czas już pomyśleć o spoczynku, bo na świecie wszystko mija, nawet wielkość!. *Sic transit gloria mundi !...*

Nie wiem czy smutny ten wykrzyknik powtórzył sobie w duszy p A. Barański, autor dzieła: „Z autonomicznych sfer“, wydanego w Husiatynie nakładem księgarni Apothekera, ale jeżeli tego dotąd nie uczynił, mam nadzieję, iż wkrótce to nastąpi. W chwili gdy ujrzał płód swego ducha czernidłem drukarskiem unieśmiertelniony, prawdopobnie uczuł się wielkim i szczęśliwym, wszelako zdaje mi się, że jeśli miał czas i odwagę własną pracę odczytać. musiała ona na nim zrobić bardzo niemiłe wrażenie. Wszystko bowiem jest w jego książce, a tylko nie ma takich drobnostek jak: styl, plastyka, dowcip, prawda życiowa, oryginalność — słowem, wszystko dałeś autrowi, co dać mogłeś, Panie! jeno odmówiłeś mu małej drobnostki — talentu. Bez niej można być księdzem, urzędnikiem, nawet ministrem i królem — ale pisarzem chyba bez niej nikt nie będzie. Dla tego miasto czas marnować i pana Apothekera na rozczarowanie narażać, radzilibyśmy autorowi poświęcić się innemu zawodowi, na polu bowiem, na którem pragnie laury zbierać, nie doczeka się ani uznania, ani mamony.

W poprzednim numerze mówiliśmy o zamiarze osuszenia holenderskiego jeziora Zuidersee. Dziś dowiadujemy się o projekcie nie mniej olbrzymim, a jeszcze oryginalniejszym niż poprzedni. Oto inżynier szwajcarski, niejaki Ritter, przedstawił radzie miasta Paryża plan zaopatrywania tego miasta w wodę z jeziora Neufchatel, leżącego w Szwajcarji. Plan ten według zdania projektodawcy, wykonać można w przeciągu sześciu lat kosztem trzystu milionów franków. Co się z planem tym stanie, przesądzać trudno, obudził on jednak w Paryżu niemałe zajęcie, wygląda bowiem dla Paryżan, spragnionych świeżej wody, bardzo ponętnie. Jezioro newszatelskie jest oddalone od Paryża o 500 kilometrów, leży o 400 metrów wyżej niż Paryż, powierzchnia jego wynosi 350 kilometrów kwadratowych. Według Rittera, jezioro to, gdyby nie miało żadnych dopływów, dostarczyłoby Paryżowi wody przez dwa lata w mierze tak obfitej, iż na każdego mieszkańca przypadałoby dziennie po 600 litrów. O ewentualności wyczerpania jeziora nie ma jednak mowy, gdyż posiada ono obfite dopływy. Ritter zamierza zresztą sprowadzić wodę nie z miejsc przybieżnych jeziora, lecz z samego środka, co więcej nawet — ze sztucznie wykopanego w jego dnie zagłębienia, leżącego o 80 metrów niżej, aniżeli powierzchnia jeziora Od tego miejsca prowadziłby akwadukt przez góry jurajskie do doliny Dessoubre w departamencie Doubs, a ztąd w sklepionym kanale wzdłuż stoków gór aż do Paryża, gdzie znajdowałby się jeszcze o 120 metrów wyżej od miasta, a woda miałaby tylko 10 stopni ciepła. Ponieważ dotychczasowe zbiorniki znajdują się na wyżynie 90 metrów, przeto powiększenie nacisku wody o 30 metrów, przy dopływie 20 000 litrów, czyli 20 stóp sześciennych, byłoby olbrzymiem. Inżynier Ritter, a wraz z nim także i Henryk de Parville w *Journal des Débats* obliczają, że zapomocą projektowanego wodociągu możnaby nietylko zaopatrywać Paryż w niewyczerpaną ilość wybornej wody, ale także w światło elektryczne na wszystkich ulicach i w siłę wodną we wszystkich fabrykach. Dodać tu należy, że na polu budowy wodociągów, inżynier Ritter jest już powagą, on to bowiem zbudował wodociąg zapomocą którego La Chaux de-Fonds sprowadza wodę z miejscowości, leżącej o 500 metrów niżej. Dzieje się to zapomocą turbin i pomp, z których każda za jednem poruszeniem podnosi tysiąc litrów wody do wysokości 80 metrów ponad miastem.

P.

PORADNIK DOMOWY.

O układaniu serwet.

Moda składania na różne sposoby serwet i serwetek przy nakrytym stole, zupełnie już minęła. Obecnie kładą je na talerzach złożone zwyczajnie w czworokąt, tak, aby ozdobnie wyhaftowany róg wypadł na wierzchu, dwa zaś boczne podwinięte były do spodu, a w środku umieszczony był kawałek chleba.

Próba wody.

Dla przekonania się o dobroci wody do picia, należy flaszkę półkwartową napełnić nią do trzech części, wsypać łyżeczkę pełną miałkiego cukru, zakorkować mocno i postawić w miejscu ciepłem Jeżeli po upływie 36—48 godzin, nie pokażą się na powierzchni wody białe płateczki, lub woda nie zbieleje — znak że jest czysta i nieszkodliwa do użycia.

OD REDAKCJI.

Wny R N. w Żółkwi. Radzibyśmy umieścić, ale przysłanych nam zadań nie możemy zrozumieć, nie są bowiem ani królewskie, ani konikowe

Zadanie arytmetyczne.

Ułożył p. Ludwik Lisowski.

188			203	
		201		198
191			205	
	204			
		193		212

Nie ruszając liczb powyższych, w próżne miejsca tego kwadratu wpisać liczby od 188 do 212 w ten sposób, aby w każdym szeregu tak poziomym, jak pionowym, tudzież na krzyż było zawsze 1000.

Kwadrat magiczny.

Ułożyła p. M. B. z Krakowa.

a	a	a	a	a
a	d	e	e	e
c	k	l	l	l
l	r	r	s	s
w	w	x	y	y

Litery w kwadracie tak ustawić, aby pojedyncze rządki czytane wzdłuż i poprzek dały: 1. poddanego, 2. imię żeńskie, 3. powieściopisarza, 4. imię męskie, 5. tytuł tragedji

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy powieść **Bolesławity: „Emisarjusz“.**

Rozwiązania łamigłówek z Nru 9.

Arytmogryf 1-szy.

1) **N**ieszpor**y**.
2) **A**jdukiewic**z**.
3) **Z**anziba**r**.
4) **Ł**użyczani**e**.
5) **O**rzechowsk**i**.
6) **D**opły**w**.
7) **Z**ąbkowic**e**.
8) **I**dz**i**.
9) **E**kra**n**.
10) **J**ukj**u**.
11) **U**l**m**.
12) **C**onclav**e**.
13) **Z**a**n**.
14) **A**lfre**d**
15) **P**izzarr**o**.
16) **K**wiryna**ł**.
17) **A**rcheolo**g**.
18) **G**ranat**y**.
19) **O**se**t**.
20) **R**akocz**y**.
21) **E**paminonda**s**.

Na złodzieju czapka gore. — Syty głodnemu nie wierzy.

Rozwiązanie Repertoaru Teatralnego.

N	**O**	R M A
A N N A	**B**	O L E N A
B	**E**	L I Z A R J U S Z
A F	**R**	Y K A N K A
O T E L L	**O**	
S O	**N**	N A N B U L A

Niedziela: **Oberon.**

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 9.

Melpomen**a** — **A**rbu**z** — **J**agua**r** — **T**urniej**e** — **E**rnan**i** — **K**rakó**w** — **K**irko**z** — **U**lan**a** — **N**aruszewic**z** — **I**nwali**d** — **E**rnestyn**a** — **M**argie**r** — **U**rzą**d** — **Z**acharjasiewic**z** - **M**alw**y** — **I**rydio**n** — **E**rnes**t** — **R**zemiosł**o** — **Z**oroaste**r** — **A**zo**w** — **O**rmuz**d**.

ZAGADKA.

Majtek ku niemu zmierza. — Odwrotny zdradza zwierza.

Rozwiązanie zagadki.

Port — Trop.

Rozwiązanie djamentowe.

			M			
		J	**a**	n		
	Z	a	**t**	o	r	
M	**a**	**t**	**e**	**j**	**k**	**o**
	B	o	**j**	a	n	
		o	**k**	o		
			o			

M a t e j k o.

Rozwiązanie arytmogramu odkrytego.

Napoleończyki.

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 9.

	a.						b.					
1	**M**	a	s	ł	a	w	J	e	n	i	k	**e**
2	K	**ą**	t	s	k	i	K	m	i	c	**i**	c
3	A	l	**d**	o	n	a	S	y	l	**w**	a	n
4	P	i	o	**r**	u	n	F	i	**o**	ł	e	k
5	R	a	f	a	**e**	l	B	**ł**	a	ż	e	j
6	S	z	a	l	a	**j**	**S**	t	w	o	s	z
7	S	k	a	r	g	**a**	**G**	o	u	n	o	d
8	K	o	r	u	**n**	d	G	**ł**	o	g	ó	w
9	U	j	ś	**ć**	i	e	C	h	**o**	p	i	n
10	B	o	**ś**	n	i	a	S	ł	a	**w**	e	k
11	P	**o**	p	i	e	l	F	o	g	g	**i**	a
12	**D**	r	a	k	o	n	M	o	l	t	k	**e**
	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12

Mądrej głowie — dość na słowie

Rozwiązanie zagadki p. Bukowskiego.

Litera **K.**

Rozwiązanie djamentowe.

						B						
					K	**O**	T					
				B	O	**H**	U	N				
			T	E	O	**D**	O	R	A			
		G	I	M	N	**A**	Z	Y	U	M		
	P	O	L	I	M	**N**	E	S	T	O	R	
B	**O**	**H**	**D**	**A**	**N**	**Z**	**A**	**L**	**E**	**S**	**K**	**I**
	M	I	N	E	R	**A**	L	O	G	J	A	
		C	Z	A	P	**L**	I	C	K	I		
			T	A	D	**E**	U	S	Z			
				M	O	**S**	T	Y				
					O	**K**	O					
						I						

Bohdan Zaleski.

W. P. Ornstein we Lwowie. Premium leży ***w Księgarni Polskiej,*** ale prosimy jej udowodnić. że pan prenumeruje nasze pismo, nieabonent bowiem nie może otrzymać nagrody.

Rozwiązanie ***serji pierwszej i trzeciej*** nadesłali: WPani Stefania Eisemberg z Żurowa, Henryka Jankówna z Hoszan. — ***Serji drugiej*** P. Bogumiła Misiewicz ze Lwowa, Antoni Karpiński z Rzeszowa. ***Serji trzeciej*** Zygmunt Smolka z Sambora, Zofja G. z Topolnicy, Fr. Fietlicki z Gruszki, Olga Elterlein z Szczurową, C. Łempicka z Krakowa, Towarzystwo kasynowe w Haliczu, Kazimiera Brzuszkiewicz z Chorostkowa, Tad. Sośniak uczeń VI klasy gimn w Nowym Sączu, Jan Zarębec, Lwów. ***Serji I. II. III*** Feliks Ślisz Kołaczyce, K. Nitsch z Krakowa, Aniela d'Abancourt z Bolechowa, Marja Bernacka z Krakowa, Magdalena Frenklówna z Iwonicza, Ksawery Niwiński z Bursztyna, Dr. Wł. Ornstein Lwów, Stanisław Faliszewski z Biecza, J. Berański Wieliczka, St. Matwij. Stefania Dziubińska Lwów, Edward Marynowski. ***Serji I.*** Aleksander Godel Lwów, Hauser Stanisławów. ***Z serji II*** Łamigłówka. Karol Gostwicki z Tokarni. ***Z serji I.*** Arytmogryf z serji III zadanie djamentowe: A. Hełm w Glinianach. ***Z serji II*** łamigłówka, z serji III i IV zadanie djamentowe: Władysław Tarnowski, z Kamionki Strumiłowej. ***Serji II*** łamigłówka i razem zagadka. Łamigłówka II. Serji III. Emilia Wospiel z Łopatyna.

Wszystkie cztery serje rozwiązała Pani Wanda Kopacz z Stanisławowa. Nagrody otrzymali: P. Magdalena Frenklówna, za serję pierwszą, „Trzech Muszkieterów“ P Edward Marynowski, za serję drugą „Olgierd i Olga“ P. M. Bernacka za serję trzecią „Nowelle Hajoty“

Za wszystkie cztery serje p. Wanda Kopacz otrzymała „POTOP“

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.